

Instytut Historii UMCS, Lublin

JAN LEWANDOWSKI

Wspomnienie o Mistrzu

The Mention of the Master

Mój kontakt z Profesorem Tadeuszem Menclem obejmował lata 1965–1987. Wcześniej zetknąłem się z Jego nazwiskiem jako współautorem podręcznika dla liceum, obejmującego historię Polski 1795–1864; kontakt z twórczością naukową Mistrza trwa do dziś. Osobiste kontakty (nie licząc dwóch egzaminów z historii Polski 1668–1795 i 1795–1864 oraz wykładu monograficznego na trzecim roku studiów) zaczęły się od seminarium magisterskiego w latach 1965–1967 i trwały poprzez udział w seminarium doktoranckim (1967–1974), asystenturę (1968–1974), stanowisko adiunkta (1974–1984) i wreszcie docenta (od 1984 r.). A zatem od studenta i asystenta – po docenta. W sierpniu 1987 r. jako dyrektor Instytutu Historii żegnałem Profesora i Jego Żonę Zofię na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

Na seminarium magisterskie prof. Mencla (wówczas jeszcze docenta) trafiłem przypadkiem. Na trzecim roku studiów wybrałem proseminarium z historii starożytnej u prof. Romana Kamienika. Chciałem pisać o świeżych jeszcze wówczas odkryciach w Qumran nad Morzem Martwym. Prof. Kamienik zaproponował mi inny temat (do którego miał przygotowane źródła i literaturę) i po trzecim roku na starożytną już nie wróciłem. Chodziłem jednocześnie na proseminarium z historii Polski XIX w., w Katedrze Historii Polski Nowożytnej, prowadzone przez dra. Zygmunta Mańkowskiego. W ten sposób po roku znalazłem się na seminarium doc. Mencla, na którym było nas bodajże dwanaścioro, czyli około 1/3 roku. Po kilku tygodniach, po rozeznaniu się w naszych zainteresowaniach (a zapewne i możliwościach), prowadzący seminarium przyniósł nam tematy prac

magisterskich. Tak zaczęła się moja przygoda z problematyką wyznaniowo-narodowościową Chełmszczyzny i Podlasia, uwieńczona na tym etapie pracą magisterską o polityce władz wobec ludności unickiej Królestwa Polskiego w latach 1815–1875.

Seminarium magisterskie było znakomicie prowadzone, zarówno pod względem organizacyjnym, jak i oczywiście merytorycznym. Ustalony na kilka tygodni kalendarz zawierał wystąpienia poszczególnych seminarzystów, oceniane i podsumowywane przez prowadzącego. Rzadko zdarzało się, aby ktoś wyznaczony nie przyszedł na seminarium albo przyszedł nieprzygotowany. Kiedy prace wchodziły w fazę pisania poszczególnych rozdziałów, były czytane na seminarium, dyskutowane i omawiane, po czym Profesor (tak się tytułowało także docentów) zabierał rękopis i za tydzień oddawał go z uwagami i poprawkami (łącznie z brakującymi przecinkami).

Podobnie było z seminarium doktoranckim z tą różnicą, że zbieraliśmy się raz w miesiącu, wieczorem (większość seminarzystów pracowała). W tych latach (1967–1974) było nas około dziesięciu, z różnych środowisk, ale większość robiła wcześniej magisterium u Profesora. Przeważali nauczyciele, na ogół dyrektorzy szkół: Stanisław Jarmuł (Radzyń Podlaski), Stanisław Kowalski (Kozienice), Marek Gawlik (Radom), Bronisław Mikulec (Stalowa Wola), Antoni Gilas i Czesław Wójcik (Lublin). W Wojewódzkim Archiwum Państwowym pracował wówczas Józef Tomczyk i Ludwik Zabielski. Waldemar Bednarski był kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach, a ja w latach 1967–1968 byłem pracownikiem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. Jeden z lubelskich nauczycieli, pracujący na kilku etatach, jeżeli lekcje kolidowały mu z seminarium, zadawał uczniom „cichą” pracę i wracał na seminarium. Większość z nas była już dobrze po trzydziestce, a byli i pięćdziesięciolatekowie. Bardzo poważnie traktowali swoje rozprawy, przygotowywali się do seminarium, zabierali głos w dyskusji, zdarzało się, że referenci czuli się czasem urażeni zbyt ostrą i, ich zdaniem, niesłuszną krytyką ze strony kolegów i obiecywali im srogi rewanż. Przy tym byli to ciężko pracujący ludzie, którzy za własne pieniądze jeździli do archiwów i bibliotek, pisali na ogół nocami i w czasie urlopów, nie korzystali z żadnych stypendiów ani ulg, w najlepszym razie, a i to nie wszyscy, mogli dostać kilka tygodni (rzadziej miesięcy) urlopu na egzaminy i obronę.

Seminarium w gabinecie Profesora w pokoju 210 zaczynało się od parzenia kawy i herbaty. Referent siedział w jedynym w gabinecie fotelu, co było oczywiście wyróżnieniem, ale głęboki fotel utrudniał oddychanie i uniemożliwiał zbyt długie czytanie.

Profesor, mając za sobą wieloletnią pracę jako archiwista, członek i wiceprzewodniczący Rady Naukowej przy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, a także wydawca źródeł, był ich doskonałym znawcą. Przez kilka pierw-

szych lat pracy na uniwersytecie był jednocześnie dyrektorem Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie i pierwsze seminaRIA magisterskie prowadził w swoim dyrektorskim gabinecie. Miał też doświadczenie nauczyciela lubelskich szkół średnich z pierwszych powojennych lat. Wszystko to niewątpliwie wpływało na Jego relacje z seminarzystami. Z jednej strony, tematy części magisteriów i wszystkich prac doktorskich miały gruntowną archiwalną podstawę źródłową, z drugiej, seminarzyści byli prowadzeni indywidualnie, w zależności od ich predyspozycji i możliwości. Byli doktoranci prowadzeni „za rączkę”, których teksty były właściwie redagowane (nie pisane!) przez promotora, i ci, których puszczano na głęboką wodę, z przekonaniem, że nie utoną. Pamiętam powiedzenie Profesora, że dopóki pracy nie przyjmie, dopóty szuka w każdej „dziury w całym”, ale jeżeli już przyjmie, to broni jej jak lew. Nie oznaczało to narzucania swojej opinii. Kiedy oddałem maszynopis swojego doktoratu, Mistrz wskazał, jak się potem okazało bezbłędnie, sprawy, o które będzie się upominał jeden z recenzentów, ale też pozostawił do mojej decyzji, czy uzupełnię rozprawę o te kwestie, czy też nie. Nie uzupełniłem i recenzent wytknął mi dokładnie to, czego spodziewał się promotor.

Specyficzna oprawa towarzyszyła egzaminom kursowym. Wprawdzie Profesor nie prowadził wykładu kursowego (za moich studenckich czasów robił to dr Zygmunt Mańkowski), ale egzaminował, i to nie sam, ale w towarzystwie prowadzącego wykład i ćwiczenia (dr Albin Koprucki). Pytania nie były łatwe, a swoisty klimat stwarzały kłęby dymu papierosowego, bowiem Profesor był namiętym palaczem i odpalał nieomalże papierosa od papierosa. Kiedy już jako pracownik asystowałem z mgr. Ludwikiem Zabielskim przy egzaminie (a trwał on zwykle dwa dni), to po kilku godzinach, obaj niepalący, wychodziliśmy odurzeni i przesiąknięci papierosowym dymem. Ale też Mistrz rzucił palenie, kiedy zaczęły się kłopoty ze wzrokiem.

W roku 1968, po 14 miesiącach pracy w bibliotece Łopacińskiego, przyszedłem do pracy w Katedrze Historii Polski Nowożytnej jako jej czwarty pracownik. Jej kierownik zajmował się wówczas czasami Księstwa Warszawskiego i powstania styczniowego, adiunkt, dr Zygmunt Mańkowski, po doktoracie z powstania listopadowego, tkwił już po uszy w historii II wojny światowej i okupacji, miał na swoim koncie znaczące publikacje dotyczące tego okresu i po kilku latach przeniósł się do Zakładu Historii Najnowszej, którego potem został kierownikiem. Drugi z adiunktów, dr Albin Koprucki, zajmował się czasami rewolucji 1905–1907 r. i porewolucyjnej reakcji, ale także nie stronił od naukowych wycieczek w czasy późniejsze. Sam kierownik katedry także nie uciekał od tematyki wówczas najnowszej jako przewodniczący Rady Naukowej Muzeum na Majdanku, a potem redaktor naczelny rocznika naukowego muzeum.

1 października 1968 r. o godzinie 8 zjawiłem się w gabinecie Profesora. Rozmawialiśmy o moich asystenckich obowiązkach i o temacie mojego doktoratu.

Miałem ogromną ochotę na kontynuowanie tematyki unickiej, zwłaszcza w okresie po kasacie Kościoła greckokatolickiego w Królestwie Polskim w 1875 r. Jednakże Profesor stwierdził, że jako początkujący badacz nie powinienem pisać do szuflady, a problematyka unicka była wówczas drażliwa politycznie i teksty na ten temat miały niewiele szans na publikację. Swoje rozumowanie poparł przykładem znakomitego doktoratu jednego z młodych lubelskich historyków prawa, który nie miał szans na wydanie go. Powiedział też, że pewnie kiedyś będę mógł wrócić do tej tematyki, co też się spełniło po dwudziestu latach. Zostałem zapytany, czy znam język niemiecki. Nie znałem, zatem usłyszałem, że jest znakomita okazja, abym się nauczył tego ważnego dla historyka XIX stulecia języka źródeł. „Jest w AGAD-zie kilka wagonów akt austro-węgierskiego Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Lublinie z lat I wojny światowej. Po wojnie nikt z nich nie korzystał. Pojedzie Pan na staż do Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, popracuje w archiwum i po powrocie porozmawiamy o doktoracie”. Rok po tej rozmowie rozpocząłem trzymiesięczny staż na UW. Oprócz uczestnictwa w seminariach profesora Ireneusza Ichnatowicza i Stefana Kieniewicza miałem sporo czasu na archiwa: wspomniany już AGAD, Archiwum Akt Nowych i Centralne Archiwum Partyjne. Najwięcej pracowałem w tym pierwszym, a mój dzień w Warszawie wyglądał najczęściej tak, że rano w akademiku na Kickiego siedziałem kilka godzin nad samouczkiem do niemieckiego, po czym ze słownikiem jechałem do archiwum i tam przebijałem się przez zawilości wojskowej niemieczyny c. i k. armii. Inspiracja Profesora zaowocowała zarówno doktoratem, jak i habilitacją związaną z I wojną światową oraz relacjami społeczeństwa Kongresówki z c. i k. monarchią naddunajską. Po drodze był półroczny pobyt w Wiedniu i przygoda badawcza z problematyką narodowościową państwa Habsburgów.

Jako podwładny asystent i adiunkt miałem dużą swobodę działania, poza dydaktyką i pracą nad doktoratem, a potem habilitacją paralelnie się próbami publicystycznymi, udzielałem się w organizacjach społecznych, dorabiałem wykładami w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, zdołałem też zaliczyć trzy semestry studiów filozoficznych. W relacjach z Profesorem jako kierownikiem Katedry, a potem Zakładu Historii Nowożytnej obowiązywała niepisana zasada: sumienne wykonywanie obowiązków dydaktycznych i naukowych, a poza tym „róbta co chceta”, oczywiście w granicach statusu pracownika uniwersytetu.

W dniach zajęć dydaktycznych Profesor przychodził do zakładu godzinę-dwie wcześniej i rozpoczynał od lektury porannych gazet. Wtedy też był czas na załatwianie bieżących spraw i rozmowy, niekoniecznie o sprawach naukowych. Profesor chętnie wspominał swoje lata gimnazjalne, studia, krótkie internowanie na Węgrzech, lata wojny, kiedy pracował w cukrowni w Opolu Lubelskim i był konwojentem wagonów z cukrem, a także lata powojennej nauczycielskiej biedy.

Najczęstszymi gośćmi w gabinecie Profesora byli sąsiedzi z gmachu Humanistyki i przyjaciele – historyk oświaty i wychowania prof. Jan Dobrzański,

z nieodłącznym papierosem w kąciку ust, i historyk państwa i prawa – prof. Józef Mazurkiewicz. Killkudziesięciu gości przewijało się przez pokój 210 w dniu imienin Profesora – 28 października. Oprócz pracowników zakładu i instytutu był Majdanek, Archiwum i Front Jedności Narodu, był bowiem Profesor przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego i członkiem Prezydium Wojewódzkiego Komitetu FJN. Gości traktowano kawą lub herbatą, czymś mocniejszym i słynnymi rogalikami Pani Profesorowej, które miały tę zaletę, że mogły być używane i na następne imieniny, bowiem zeszłoroczne prawie nie różniły się od tych świeżych. Krąg przyjaciół Profesora był zresztą bardzo szeroki, w Lublinie należał do niego jeszcze ks. prof. Mieczysław Zywczyński z KUL-u, a spoza Lublina m.in. prof. Ireneusz Ichnatowicz z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Andrzej Tomczak z Torunia i poznaniacy: prof. Witold Jakóbczyk i prof. Franciszek Paprocki.

W gronie swych podwładnych i współpracowników Profesor wytwarzał specyficzną atmosferę „zobowiązującej życzliwości”, która sprawiała, że nie do pomyslenia byłoby „zawalenie” jakichkolwiek zobowiązań. Nigdy też nie zlecał pracownikom zastępowania Go na wykładach czy innych zajęciach czy też wykonywania za Niego innych prac. Piszę o tym dlatego, że feudalizm kwitł jeszcze wśród części profesorów historii na dobre i wyręczanie się młodszymi pracownikami nie należało do rzadkości. Jedyne, o co prosił, jeżeli wypadło coś nagłego i nie mógł tego sam zrobić, to poinformowanie studentów o odwołaniu zajęć (przed powstaniem Instytutu Historii w 1970 r. nie było sekretarki). Raz tylko, kiedy Profesor miał poważne problemy ze wzrokiem, poprosił mnie o przepisanie kilku tabel ze względu na pilne terminy wydawnicze. Zazdroszczono nam takiego szefa, zwłaszcza koledzy z zakładu, w którym kierownik zrobił im awanturę po przestawieniu biurka w pokoju asystenckim i oświadczył, że bez jego wiedzy nie mogą nawet palcem w bucie kiwnąć.

Życzliwość, skromność i gotowość do wspierania radą i pomocą nie przeszkadzała w zachowaniu dystansu między Mistrzem i uczniami. Gdybym miał sformułować zasadę, jaką kierował się w stosunku do pracowników nie tylko katedry i zakładu (był przecież także dwukrotnie dziekanem i pierwszym dyrektorem Instytutu Historii), to brzmiałaby ona: „Nie przeszkadzać, a jeśli można, to pomóc”. Nie o wszystkich szefach wówczas i teraz dałoby się to powiedzieć...

Dydaktyka i badania to tylko część aktywności Profesora. Bezpartyjność nie przeszkadzała Mu w sprawowaniu wielu funkcji, zarówno na uniwersytecie, jak i poza nim. Był dwukrotnie dziekanem Wydziału Humanistycznego, i to w niełatwych latach: 1962–1964, kiedy rozrzucony po mieście wydział przeprowadzał się do własnego budynku, i w trudnych pomarcowych latach 1968–1970. Był też pierwszym organizatorem i dyrektorem Instytutu Historii UMCS w latach 1970–1972. Organizował go sam, bowiem dla instytutu nie przewidziano początkowo

etatu sekretarki. Na uniwersytecie był też kierownikiem Studium Eksternistycznego, a w 1982 r., po wprowadzeniu stanu wojennego, pierwszym przewodniczącym Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego na UMCS, wychodząc z założenia, że należy chronić uniwersytecką substancję przed możliwymi szaleństwami zarówno wojskowych, jak i „twardogłowych” członków PZPR, których na uniwersytecie, a też i poza nim, nie brakowało. Osobny rozdział można byłoby napisać o działalności w Polskim Towarzystwie Historycznym, tak w skali lubelskiej (pierwszy redaktor naczelny „Rocznika Lubelskiego”), jak ogólnopolskiej, w Lubelskim Towarzystwie Naukowym, w organizacjach związanych z Muzeum na Majdanku (m.in. pierwszy redaktor naczelny „Zeszytów Majdanka”), w obszarze archiwistyki.

Teksty naukowe Profesora, a także wykład monograficzny były bardzo rzeczowe, powściągliwe w ocenach, wyważone, wręcz suche. Tym większe było moje zaskoczenie przy lekturze wspomnienia po śmierci ks. prof. Żywczyńskiego. Przy całej rzeczowości tekstu czuło się w nim ciepło i żal po utracie przyjaciela.

Takich zaskoczeń w ciągu ponad dwudziestu lat było znacznie więcej. Profesor zadziwiał znajomością muzyki, literatury, trafnością sądów nieraz w bardzo odległej od historii dziedzinie. Był humanistą nie tylko z racji wykonywanego zawodu, ale z pasji i zamiłowania, tak w sferze nauki, kultury, jak i w relacjach służbowych, towarzyskich czy rodzinnych.

Obok prof. Juliusza Willaume’a i prof. Kazimierza Myślińskiego należał do grona ojców założycieli środowiska historycznego w młodym wówczas Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej i jeszcze młodszym Wydziale Humanistycznym. Obok najwyższych kwalifikacji naukowych wniósł do tego środowiska także atmosferę życzliwości, spokoju, spolegliwości i zaufania. Był Mistrzem.

SUMMARY

The author mentions Professor Tadeusz Mencil (1912-1987), the disciple of Adam Skalkowski. Mencil was the expert on the history of the Polish Republic in late eighteenth century and on the Napoleonic era. For many years he had been a professor at the Maria Curie-Skłodowska University in Lublin.